

Pismo to wychodzi
trzy razy w tydzień
to jest: w Ponie-
dzialek, Środę i
Piątek o drugieji
po południu.

ZBIÉRACZ LITERACKI.

Zaliczenie na 36śc
Nrów wynosi Złp.
6 i przyjmuje się w
księgarni Czecha,
w handlach Kocho
i Schreiberna.

PONIEDZIAŁEK 6 LISTOPADA

N^{ER} 2.

1837 ROKU.

KRWAWY SKARB.

POWIEŚĆ.

(DALSZY CIĄG.)

» Widzisz bracie, żem trochę
mocniejszy od ciebie, « rzekł
chirurg, przytrzymując go ko-
lanem pod sobą, » nie ujdiesz
mi tak łatwo. « — Złoczyńca,
chcąc się wydobyć z pod niego,
targnął się raz jeszcze, lecz po-
znawszy, że nie nie wskóra, nie
opiérał się więcej. — » Puść mię,
puść mię; na Boga! panie Zo-
rian, « wołał głosem błagalnym,
» cóż ci to szkodzi, że ucieknę,
że będę wolny? Wszakżeś ty
nie mój dozorca. « — » Jestem
nim, pókiś chory. Cóżby mó-
wiono o lekarzu, któremu tru-
py uciekają? « — » Niktby nie
wiedział, a z resztą, coż tobie
za to zrobić mogą? Och! za-
klinam cię panie doktorze, ko-
chany panie doktorze! puść mię,
puść mię, choćby tylko za drzwi!
choć krok jeden niech będę za

więzieniem; odetchnę świeżem
powietrzem. Od czasu ostatniej
ucieczki, wszak wiész o tém
panie, że mi nie pozwalają wy-
chodzić... Zaklinam cię, tyś
taki dobry, panie Zorian. « —
» Nie można, nie można. « —
Więzień znowu chciał mu się
wyrwać, lecz chirurg trzymał
go jak w klęczkach. — » Nie
ruszysz mi się z miejsca powia-
dam tobie; nie chcę, aby mó-
wiono, żeś zdrwił z méj sztuki. «
— » Ja będę wolny, ja muszę
być wolny! « wołał Wataszka.
» ...O Boże! tak długo cięrpia-
łem, a nadaremnie! przez dwa
długie miesiące ukrywałem na-
wet chęć ucieczki; przez całe
trzy dni nie jadłem, aby
zachorować i pójść do szpitala.
Tak dobrze udać zmarłego, że-
ście się wszyscy oszukali! I to
wszystko na nic—na nic!...
Stanąć u celu i chybić! Och,
tego już nadto! tego już nad-
to!... « — Więzień z wściekło-

ścią tłukł głową o podłogę.
 » W tych murach żyć nie chcę;
 bo chcę wrócić do moich gór
 przed śmiercią; bo chcę odet-
 chnąć góralskiem powietrzem.
 Pomyśl tylko, już lat dwadzie-
 ścia jak niewidziałem skały i nie
 jadłem owsianego płacka! « —
 » Ależ ani siły twoje, ni wiek
 po temu, abyś stare rozpoczął
 rzemiosło. Umrzesz z głodu na
 twojej swobodzie, rzekł Zorian. «
 — Więzień wykrzywił usta śmie-
 chem pełnym wzdargliwej cheł-
 plivosti: — » Jam bogatszy niż
 wy wszyscy. « — » Co — tyś bo-
 gaty? « — » Zapewne. « — » Toś
 szczęśliwy. « — Chociaż ten wy-
 raz wyrzeczony był z ironją,
 jednak głos chirurga musiał mieć
 coś takiego w sobie, co więzień
 zrozumiał. — » Słuchaj! « mówił
 po cichu, » chciałżebyś zostać
 bogatym? Mam tyle, że na dwóch
 wystarczy. « — » Za kogo mię
 masz, złoczyńco? « — » Chcę cię
 bogatym uczynić. « — » Rozu-
 miem — mam należeć z tobą do
 jakiej kradzieży? « — » Nie, tyl-
 ko wziąć, co już gotowe. Po-
 móż mi ucieć, a podzielę się
 z tobą. « — » Schowaj te duby
 smolone dla kogo innego, « rzekł
 chirurg zawstydzony, że mimo-

wolnie dawał ucho kłamstwu
 jednego złoczyńcy; » wracaj do
 sali, i koniec na tém. « — To
 rzekłszy młody chirurg podniósł
 się, nie puszczaćc wszelako obu
 rąk więźnia. — » Co? nie chcesz
 mi wierzyć doktorze? « powtó-
 rzył z rozpazą, » głowę ci daję
 w zastaw, że prawdę mówię;
 czegoż trzeba, abym cię panie
 przekonał? « — » Pokaż mi swo-
 je skarby. « — » Tu ich nie mam,
 tu ich mieć nie mogę; lecz puść
 mię na wolność, a przysięgam
 na Boga, że twoja część cię
 nie minie. « — » Nie wątpię, nie
 wątpię, mój przyjacielu; a te-
 raz ruszaj, niech cię przykują
 do muru. « — Więzień stęknął
 dzikim jękiem. Przez chwilę
 zdał się być dręczony niepewno-
 ścią, nakoniec jakby nabrał od-
 wagi: — » Posłuchaj mię! « za-
 wołał, a w głosie jego taki był
 wyraz prawdy, że chirurg wpa-
 trzył się w niego i już mu wie-
 rzyć się skłaniał, » pozwoliszże
 mi ucieć, skoro ci dowiodę, że
 nie kłamię? « — » To się dopiero
 pokaże. « — » Pozwolisz ucieć? «
 — » Sądzę, że nie przytém nie
 stracę. « — » Przysięgnijże. « —
 » Dobrze, przysięgam. « — » Słu-
 chaj więc... u stóp góry Świę-

tokrzyjskiej, na drodze ze Słupi do klasztoru, gdzie krzyż kamienny — otoż pod tą figurą, na sześć stóp w ziemi, schowałem, lat temu dziesięć, szkatułkę ze czterykroć tysiącami złotych w papierach. « — » Na kimże ten skarb zdobyłeś. « — » Na pewnym podróznym, któregośmy tam sprzątnęli. « — » Nędzniku! « — » Czterykroć sto tysięcy złotych! « powtórzył więzień tonem tryumfu, » wystarczy na dwóch, nie prawdaż panie! Jeżeli chcesz, połowa summy jest twoja. « — Chirurg wstrząsnął głową: » Dobrze wszystko, tylko w tém sęk, że już więcej jak lat dziesięć siedzisz tu w więzieniu. « — » Prawda, lecz zapomniałeś o tém panie, że przed dziesięć laty uciekłem był z Janoszem w góry Świętokrzyżskie, i wtenczasto złupiliśmy te skarby. Z obawy pogoni ukryliśmy je na miejscu ucyńku. Nazajutrz żandarmerya przytrzymała nas na jarmarku. Później Janosz umarł w więzieniu, a ja sam tylko zostałem panem skarbu. « — Mimo całej usilności Zoriana okazania się obojętnym, widać było, iż słów więźnia słuchał z uatężoną

uwagą. Gdy ten przestał mówić, zamyślał się na chwilę, jakby roztrząsał sam w sobie prawdopodobieństwo tego wyznania, lecz nagle wychodząc z tej zadumy, zarumienił się, spotkawszy wzrok rozbójnika w sobie wlepiony, i rzekł tonem, któremu chciał nadać wyraz żartobliwy. — » Bajka twoja dobrze zmyślona, szkoda tylko, że stara; dziś już nikt nie wierzy w ukryte skarby. Powiedz bracie co lepszego. « — Zbrodniarz zadrdzał: » Przez Boga! i ty mi jeszcze nie wierzysz! « — » Wierzę, żeś szczywany oszust, i że lubisz stawiać zamki na lodzie kosztem drugich. « — » Panie Zorian, panie Zorian, miej litość, chciej mi wierzyć! Szkatulka jest pod kamienną figurą; pewny jestem, żebym ją znalazł. « — » Nie fatyguj się. « — » Panie Zorian, dwie trzecie części dam tobie; dwie trzecie części... « — » Dosyc tego... « — » I wszystkie klójnoty, bo tam są i klójnoty. « — » Dość tego, mówię; ani słowa, wstań! « — Wataszka zawył z wściekłości, i upadł na ziemię. » Nie wstanę; niech mię ztąd wezmą, ani kroku nie zrobię. Och! nie chcesz mi dać

wiary doktorze! a jednak, panie Zorian to prawda, jak Bóg na niebie... Nie chcesz mi dać wiary! bez szkatułki, jakże ci dowiodę, że nie kłamię? kilkanaście mil tylko między mną a nią, między więzieniem a bogactwem! Panie Zorian; o, pożalujesz tego... Biada ci, nie chcesz mi wierzyć! — Nieszczęśliwiec tarzał się po ziemi, w szale rozpaczy; a chirurg bił się z niespokojnemi i kuszącemi myślami. Powieść ta obudziła mu w głębi cały ów świat zgubnych żądź, które tylko w nim dotąd drzymały. Z jednej strony już prawie wierzył słowom więźnia, i gotów był przyjąć jego ofiarę; ale z drugiej wstrzymywała go hańba takiej współki i obawa, by go nie zdradził. Jedna z tych uwag przemogła, i chcąc od razu zbyć się wszelkiej pokusy, przystąpił do zbrodniarza, i wzięwszy go pod barki, usiłował podnieść dla przeprowadzenia do sali. Widząc, że sam nie da mu rady, zniewolon był przyzwać kogo na pomoc. Zamknąwszy drzwi na klucz, wybiegł na dziedzińiec, gdzie spotkawszy dwóch stróżów, kazał im iść za sobą.

— Ale gdy się zbliżali do sali sekcjonalnej, tuż za murem usłyszeli wystrzał, i w tej chwili jakaś istota naga i skrwawiona pokazała się na końcu dziedzińca. Był to Wataszka, który zostawszy sam jeden, wymknął się oknem, co szylwach spostrzegłszy, strzelił doń. Zorian w sam czas nadbiegł, aby upadającego przyjął w ramiona; lecz kula pierś mu przeszła — już nie żył.

II.

Kto nie zna Krzeszowic, kto nie zna tej pięknej, czarującej wioski, opasanej romantycznemi wzgórzami, rzuconej jakby umyślnie na wzór dla poety, jeżeliby chciał opisywać cuda naszej ziemi — ten nie dziw, że cudzoziemskie widoki przenosi nad swoje. Skały nagie i góry lasem porośłe, tworzą ramy tego krajobrazu, który dzierzgany kwiatami, ocieniony runami bujnych drzew, to jak suknia baletniczki, migający blaskiem strumyków, wodospadów, wydaje się sztuką haftowanego aksamitu, gdy go rozwiniesz pod słońce. Szczupłość tej ustroni pomnaża jej wdzięki. Oko od razu obejmie te dziwy, ucho od razu usłyszy jej melodyę.

Zgoła hic nie brakuje temu lubemu siedlisku, ni wdzięku, ni potęgi, ni świeżości. Myślałbyś, że Bogu podobano się całą garścią wysypać tu cuda przyrody, które gdzie indziej rozsiał potrosze. — Piękna ta wieś leży trzy mile od Krakowa. Siarczane wody tutaj odkrył doktor Leonhardi, około r. 1780. Owcześniey dziedzie, xiążę Czartoryski, kazał tu wznieść niektóre budowle dla chcących używać kąpeli, ale ostatnie upiększenie i wygody dziełem są księżny Izabelli Lubomirskiej. Kąpiele te w okresie naszej powieści wielce były używane, i weszły niejako w modę, bo nawet i ci, których wabiły zagraniczne wody, chętnie szukali zdrowia i rozrywki w ojczystych Krzeszowicach. — W chwili, gdy znowu chwytam nić naszej historyi, goście używający kąpiel zebrał się byli pod cieniem kasztanów i lip przy Foxalu, miejscu zgromadzeń i rozrywek — i zabawiali się: mężczyźni pogadanką, kobiety robotkami; gdy w tém pani Bonar z córką swoją pojawiła się w ich gronie. Pani Bonar, mieszczanka krakowska, gdzie, co często lubiła

powtarzać, przodkowie jej bywali rajcami, należała do rządu owych poczciwych matek, których wszystkie czynności, wszystkie myśli mają cel jeden, a na których czole mógłbyś wy czytać: *córka na wydaniu!* Jeszcze dość młoda po śmierci swego małżonka, umiała ze swego wdowieństwa utworzyć sobie tak osobliwe stanowisko w społeczeństwie; a jej nieszczęścia i jej cnoty stały się niejako własnością publiczną. Gdy córki jej podrosły, zrzęcznie użyła powszechniej opieki, jaką ją zaszczycono, aby trzy starsze najkorzystniej wydać za mąż; lecz kiedy kolej przyszła na 4tą, doznała trudności, o jakich nigdy się jej ani śniło. Dom jej, dla młodych chłopców na ożenieniu, stał się drugą smoczą jamą; widzieli oni, jak trzech tam weszło, i niewróciło na świat; dla tego też stronili od niej jak od zapowietrzonego domu. Napróżno pani Bonar pokazywała się na balach, natanających herbatach, napróżno wywodziła dzieje swego rodu wodu, nikt się nie trafił. Ostatnią nadzieję chciała odszukać przynajmniej w wodach Krze-

szowickich. W kąpielach, gdzie umysły niczém nie są zajęte, łatwiej się jest rozkochać, niż gdzie indziej; ta uwaga skłoniła panią Bonar, iż ze swoją Klementyną od kilku tygodni tam zjechała... Pozdrowiwszy po nazwisku każdego gościa z osobna, i wypytawszy się o wszystkie ich reumatyzmy, spazmy, kurecze i paralizy, zajęła miejsce, które zrobiono dla niej i dla nieodstępnej córki, a rozmowa, przybyciem jej przerwana, potoczyła się na nowo. — » Wrzeczy samój, « mówiła pewna otyła dama, zaledwo mieszcząca się na dwóch krzesłach, » postępowanie tej panny Gordon bardzo jest osobliwe. Tak młodej panience przybyć tu samój — z jakimeś rodzajem guwernantki! do czegoż to podobne? « — » Wcale się temu nie dziwię, « pochwyciła obok siedząca dama w rozumieniu o sobie, że zna obyczaje angielskie, albowiem mąż jej, chodzący z pszenicą do Gdańska wiele jej o Anglikach rozpowiadał; » o, nie dziwię się, trzeba bowiem paniom wiedzieć, że panna Gordon, lubo jest Polką, wszelako wychowała się w Anglii; a tam

taki zwyczaj, że Angielki podróżują albo same, albo jeźli im się podoba z kochankiem. « — » Co za niemoralność! « zawołała pani Bonar. — » A któż jest ów pan Korybut, który jej wszędzie towarzyszy? Ona utrzymuje, że to przyjaciel ich domu; ależ na przyjaciela zbyt on uprzejmy, i wygląda raczej na czulego *adonisa*. « — » Trochę za stary. « — » Starce też najwięcej przepadają za kobietami takiego charakteru; ów pan Korybut ciepły być musi staruszek? « — » Co za hańba! « wykrzyknęła pani Bonar, » jam tylko biedna wdowa, lecz gdybym miała córkę, jak ta panna Gordon, o wtedy!... « — » Zbyt surowo sądzicie, « przerwała dama, której mąż znał Anglików; w Anglii są inne obyczaje, inne życie, jak u nas... « — » Wątpię czy tam obyczaj, aby każda kobieta była kokietką. Nie zawróciłaby ona głowy panu Zorianowi, temu wzorowi młodzieży, który mógłby niejedną dobrze wychowaną osobę uszczęśliwić? « — » Ciszój mówmy, « ostrzegła otyła dama, » o toż i on. « Ludwik Zorian wrzeczy samój pojawił się na rogu ulicy

lipowój. Zbliżywszy się wolnym krokiem, pozdrowił całe grono, i nic nie rzekłszy, usiadł na osobnej ławeczce. — Pani Bonar, to odzywając się kaszlem, to obracając się ku niemu, to robiąc dla niego miejsce między sobą a córką, odważyła się nakoniec wprost go zaprosić; lecz Zorian grzecznie odmówił. Pani Bonar uraziła się. — » Obecność pańska, « rzekła, » w naszym gronie o tej godzinie — jest niespodziewaną łaską; zdaje mi się, że o tej porze zwykłeś towarzyszyć na przejażdżkę panie Gordon. Dlaczegoż dziś ta odmiana? « — » Panna Gordon uprzedziła mię wczoraj, że dziś rano nie wyjdzie z domu. « — » Więc zmieniła zamiar, « rzekła otyła dama, » bo oto od Tęczyna powraca ze swoim nierozdzielnym panem Korybutem. « — Zorian zerwał się z miejsca. W rzeczy samej panna Gordon na pięknym angielzie przyczwalała aż pod wystawę Foxalu. Postrzegłszy Ludwika splonęła rumieńcem; jakby z przestrachu skoczyła ze siodła, i wbiegła do pałacu, nie czekając już swego towarzysza. Korybut zdziwiony, pójrział do koła, niby badając przyczyny tego jej pomiészania,

lecz na widok Zoriana, stojącego w osłupieniu i z pobladłym licem, zrozumiał o co grałdzie, i wznosząc ramionami wznak nieukontentowania, już wchodził we drzwi, gdy Zorian ścisnął go za rękę: » Darujesz pan, « mówił ze wzruszeniem, » lecz chciałbym z nim sam na sam pomówić. « Twarz Korybuta wypogodziła się, zdawało się, że pragnął tego kroku: » Gotów jestem na jego rozkazy. «

(DALSZY CIĄG NASTĄPI.)



DZIEWCZE.



Błysnęła jutrzénka,
Sklep nocy rozpęka;
Nad bory, nad wzgórzeza
Twarz słońce wynurza:
Mgły topi złotém oliem,
Rozléwa dzień potokiem.

Mknie wietrzyk przez kłosa,
Na kłosach blask rosy;
Przeleciał przez krzewy
Rozdźwięczne brzmia śpiéwy,
Na łące kwiatów stroje,
Po łące brzęczą zdroje.

Doliną pod gajem,
Nad szklistym ruczajem,
Kwitnące, porywczé,
Jak śliczne to dziewczę!
Wesołą piosenkę śpiéwa,
Do ezola kwiatek zrwá.

Podbiega to stawa
 Wzrok wdziękiem napawa;
 Umilkła; znów śmiechem
 Przedrzeźnia się z echem...

O! piękna w kwiecie latek,
 Śpiew piękny, piękny kwiatek!

Śpiew' nagle ucina...
 Jakaż to przyczyna?
 I kwiatek przez ciska,
 Gniw z ócz jej wyblyska....

Co! nawet we łach lice?
 Dziewczęta! o wietrzнице!

• Wciąż jedno, odludno,
 Wciąż smutno i nudno.
 Toż w wieczór, o świecie,
 Już nudzi mię życie.

Nie będę kwiatków zrywać,
 Już nie chcę nigdy śpiewać. —

• Jak ustróż ta głucha!
 Choć śpiewaj... któż słucha?
 • Choć strój się... do kogo?

By stanąć nad drogą!
 Przy matce szycie, trudy
 Ach nudy! nudy, nudy!

• O gdyby kto młody,
 I ładnej urody
 Raz przybył w tę stronę,
 A wziął mię za żonę...

O Boże! cobym dała!
 O! jakbym go kochała! •

Wybiega młodzieniec...
 Twarz krasi rumieniec,
 Wdzięk w ustach, wdzięk w oku..
 Przesadził zdroj w skoku...

Nim dobiegl... Coś wyrzekła,
 Krzyknęła, i uciekła.



ROZMAITE
WIADOMOŚCI.

Pan Ragut architekt jednego z departamentów Francyi, znalazł w szacownym zbiorze opiece jego powierzonym 181 własnoręcznych listów królów i królowych francuzkich, to jest: jeden Franciszka Igo, jeden Henryka IIgo, jeden Henryka IIIgo, trzy Henryka IVgo, dwanaście Ludwika XIII., jeden królowej Austrii Maryi Teressy, jeden królowej Anny Austriackiej, sto dwadzieścia siedem Ludwika XIV., trzydzieści jeden Ludwika XV., i trzy Filipa Orleańskiego rejenta. Odkrycie to, dla lubowników historycznych rękopismów zapewne pożądanem będzie.

Pewien lord angielski zapłacił niedawno ogrodnikowi w Londynie za jeden krzak georginii 50,000 talarów, ponieważ takowej listki miały kształt cokolwiek od zwyczajnych odmienniejsze; szczególnie amator!! —